SOBOTA Nr 117 1 X 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

SPORTOWY PAŹDZIERNIK

Miesiąc ten, w przeciwieństwie do poprzednich, nie obfituje w nadmiar wielkich imprez. Nie znaczy to wcale, że kibiców czeka nudna przerwa. Otóż w dalekim Meksyku odbędą się łucznicze mistrzostwa świata (11 – 14 X). Przed laty mogliśmy liczyć na medale, obecnie trudno jest zwojować międzynarodową czołówkę. Ale generalnie rzecz biorąc stać nas na czołowe miejsca. Podobną imprezę mają w Moskwie dżudocy (13 – 16 X) i gimnastycy sportowi w Budapeszcie (23 – 30 X). Z wielkim zainteresowaniem oczekujemy tych ostatnich zawodów. Interesują nas zwłaszcza reprezentanci Chin, którzy poczynili ostatnio wprost rewelacyjne postępy. Podobno mogą wygrać we wszystkich konkurencjach...

W październiku rozpoczynają się eliminacje (gminne i rejonowe) 29 lekkoatletycznego czwórboju „Świata Młodych". Wyłonią one finalistów imprez wojewódzkich (odbędą się wiosną przyszłego roku). Wszystkim czwórboistom życzymy udanego startu i awansu do kolejnych zawodów. (zp)

Gdy Sobieski pod Wiedeń szedł

TARNOGÓRSKIE GWARKI

Fot. Z. Bisanz

Rajcowie miejscy, dostojni mieszczanie, gwarkowie i gawiedź wszelaka, wszyscy kto żyw tłumnie wylegli na ulice miasta powitać parę królewską Jana III Sobieskiego i Marysieńkę oraz towarzyszy pancernych zdążających na odsiecz oblężonemu Wiedniowi. Tu w Tarnowskich Górach żegnał się król z królową w dniu 21 sierpnia Anno Domini 1683. W 300 rocznicę tych wydarzeń na budynku Sedlaczka została wmurowana tablica pamiątkowa ufundowana przez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej. Fotoreportaż z całej uroczystości drukujemy

na stronie 5.

Filmy polskie znów górą!

WARSZAWA (PAP). Na III Międzynarodowym Festiwalu Filmów Komediowych w Vevey w Szwajcarii wielką nagrodę publiczności otrzymała „Konopielka" w reżyserii Witolda Leszczyńskiego, nakręcona na podstawie powieści Edwarda Redlińskiego. Odtwórca głównej roli męskiej w tym filmie, Krzysztof Majchrzak, został wyróżniony przez jury nagrodą dla najlepszego aktora.

Zagraniczny sukces odniósł również film zrealizowany w Wytwórni Filmów Oświatowych przez Jana Kolskiego i Jarosława Żamojdo pt. „Najpiękniejsza jaskinia świata". Na VI Międzynarodowym Festiwalu Filmów Speleologicznych w Lac-Chapelle-en-Vercors we Francji otrzymał on nagrodę telewizji francuskiej. (gr)

Dla prymusów i dla roztrzepanych

Jest wesoły, dowcipny i... wieloczynnościowy. W sam raz dla tych, co nie mają pamięci do tabliczki mnożenia, milimetrów, minut i dekagramów. Dla roztrzepanych i zapominalskich, którzy gubią adres dentystki, nie pamiętają o dniu babci, skąpią słów: proszę, przepraszam, dziękuję...

Cóż to takiego? Kalendarz! Wielka, kolorowa plansza, pełna ślicznych rysunków Edwarda Lutczyna i zabawnych rymowanek Wandy Chotomskiej i Renaty Kmiecik. Kalendarz specjalnie dla Was, dla każdego ucznia, w którym rok zaczyna się od września, a kończy wakacjami. W którym jest ponadto miejsce na notatki – ważne sprawy i zabawy oraz rzecz jasna – plan lekcji. Wydawca – Zakład Usług Marketingowych tak się w przyjemnościach dla Was rozpędził, że wymyślił i zamieścił jeszcze dodatkowo atrakcyjny fotograficzno-geograficzny konkurs z nagrodami. Rozpędzili się też drukarze z Wojskowych Zakładów Kartograficznych, którzy odłożyli wszystko na bok i piorunem, albo jeszcze prędzej, wydrukowali cały 200-tysięczny nakład tego cuda. Im więc tylko należy zawdzięczać fakt, że kalendarz ukazał się na rynku niemal równo z pierwszym dzwonkiem. Kupić go można (kalendarz, nie dzwonek) w klubach MPiK oraz punktach handlowych „Ruchu" na terenie całego kraju (a w Warszawie dodatkowo w Domach Centrum). Kosztuje stówę – a więc w granicach przyzwoitości, zaś jeśli brać pod uwagę jego urodę, to prawie darmo... (tem)

Fot. M. Szymański

SPOSÓB NA NUDĘ

Jakie hobby dostarczy Ci największej satysfakcji? – Oczywiście kolekcjonerstwo. Pytasz co kolekcjonować? – Pomysł, jeśli go jeszcze nie masz – znajdziesz w naszym SEZAMIE, a do tego niejedną cenną wiadomość i radę. Propozycje z poprzednich stron książeczki nie przypadły Ci do gustu? – Szukaj dalej...

Kolekcjoner to nie byle kto

Kolekcjonerem może nazywać się tylko ten zbieracz, który ma zasób wiadomości na temat posiadanych eksponatów i stale go uzupełnia. Wczesny okres zainteresowania się przedmiotami gromadzonymi w sposób przypadkowy to zaledwie pierwszy stopień wtajemniczenia – zbieractwo. Dopiero, kiedy nasze zainteresowania zawężają się, a zarazem pogłębiają – powstaje kolekcja. I dlatego nawet o tak słynnej osobie, jak caryca Katarzyna Wielka, która wzniosła Ermitaż, by pomieścić w nim sprowadzane z całego świata wspaniałe kolekcje, nie możemy z czystym sumieniem powiedzieć – kolekcjonerka. Raczej pasuje do niej określenie zbieraczka kolekcji, na malarstwie bowiem znała się słabo. W swych zakupach polegała na sądach znawców i ich smakowi a tylko pieniądzom Katarzyny, zawdzięczała ówczesna Rosja zaszczyt posiadania najznakomitszych dzieł sztuki.

Poryw serca czy głowy? – czyli o filmowych fotosach

Źródła fotosów są niewyczerpywalne. Prócz tego, że można nabyć portret ulubieńca z ekranu w kioskach Ruchu, klubach MPiK, przedsiębiorczy handlarze powielają je nieustannie i za niezły grosz sprzedają na wszelkiego rodzaju bazarach i targowiskach. Tak ostatnio się dzieje z podobiznami (często tak fatalnymi technicznie, że trudno rozpoznać rysy) Bruce'a Lee, które sprzedawne są po kilkaset złotych. Cóż, moda.

W tej chwili można robić fotosową dokumentację filmów z „gwiezdnej serii" Lucasa. Dedykujemy więc Wam Carrie Fisher i Harrisona Forda w scenie z „Imperium kontratakuje"

Najłatwiej dostępne są jednak gazety zajmujące się tematyką filmową, które im lepszym papierem dysponują, a co za tym idzie – dobrą jakością reprodukcji, są niemiłosiernie cięte i kaleczone. Nie ma w tym nic złego oczywiście – tyle, że prócz zdjęcia warto zauważyć jeszcze tekst, któremu ono towarzyszy, a kolekcja tylko na tym skorzysta, nie mówiąc już o wiedzy jej właściciela. Te zbiory bowiem pozornie tylko są mniej ambitne od innych. Warunkiem ich wartości jest myśl przewodnia i przejrzystość informacji jakie sobą niosą. Niejeden z krytyków filmowych, który tak ciekawie pisze o np. problemie przemian mody na urodę kobiecą na podstawie filmów – często korzysta w tego rodzaju pracy ze swojego młodzieńczego zbioru.

Wiele można się nauczyć zbierając fotosy... mądrze.

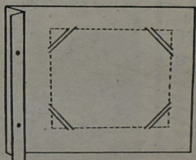

Jeśli nie dysponujemy gotowymi narożnikami do mocowania fotografii nacinamy odpowiednio sztywną stronę własnoręcznie sporządzonego albumu i mocujemy eksponat wkładając jego rogi w nacięcia

Czy jestem podobna do babci Ludwiki – czyli o starych i nowych fotografiach

Najbardziej wartościowe, bo najrzadsze i najwcześniejsze są dagerotypy. Tę technikę fotograficzną wymyślił Francuz – Daguerre. Są to wizerunki postaci i rzeczy na srebrnej blasze, wyraźne, z lustrzanym połyskiem, oprawne w pluszowe płaskie ramki. Dagerotyp powstawał tylko jeden, jak obecnie zdjęcie z polaroidu, stąd jego rzadkość i niepowtarzalność. Łatwiej już więc zbierać zdjęcia późniejsze, z końca XIX wieku po współczesność. Ogromną satysfakcję może przynieść każdemu próba – drogą szperania po rodzinnych albumach wszystkich kuzynów i pociotek – rekonstrukcji własnej rodziny kilka pokoleń wstecz. Można w ten sposób odkryć jakąś zupełnie nieznaną ciotkę, prawnuczkę emancypantki wyklętej przez rodzinę. Piękną podróżą w czasie jest zbieranie zdjęć ilustrujących życie ulicy, którą dobrze znasz w różnych czasach i różnych porach roku. Inny charakter będą miały zdjęcia wykonane przez fotografów ludowych na tle np. papierowego pejzażu górskiego, czy fal oceanu. Do dziś istnieją małe prowincjonalne zakłady, w których robi się takie pamiątki – kiczowate, ale też mające swój urok. Wszystko zależy od Waszej inwencji i pomysłowości.

ALFABET KOLEKCJONERA

G – garnki, gliniaki, gry, guziki, gipsowe figurki, gongi... grafiki, gumki (do ścierania)...

H – hafty, hotelowe nalepki, haftki, herby, herbaria (zielniki), horoskopy (np. sławnych ludzi), historie wędrówek słynnych dzieł sztuki...

I – imiona, inicjały, ikony, igły, ikebany (czyli kompozycje ozdobne roślin), instrumenty, ilustracje, informatory (choćby książki telefoniczne)

J – jadłospisy, jelenie poroża, jarmarczne cacka...

REDAKCYJNA POCZTA

Okularnicy nie mają głosu

Kiedyś uważano mnie za najładniejszą dziewczynę w klasie. Moje nieszczęścia zaczęły się w dniu, kiedy pierwszy raz włożyłam okulary. Przyszłam do szkoły w okularach i moja najbliższa przyjaciółka zerwała ze mną przyjaźń. Dziewczęta i chłopcy przez dwa dni byli jakby zażenowani, a potem przestali się do mnie odzywać. Zwróciło to uwagę nauczycieli i klasa zmuszona była do odzywania się do mnie. Zaczęły się różne przykre przezwiska: „kobra", „sekularnik", „okularnik" itp.; przez pierwsze dni nie zwracałam na to uwagi, a potem...

W naszej klasie jest taki zwyczaj, że dziewczęta zwracając się do chłopców, wymawiają zdrobniale ich imiona. Gdy tak odezwałam się do jednego kolegi, jego oburzenie nie miało granic. Od razu kazał sobie mówić: „pan". Inaczej w ogóle się nie odzywał. Wszystkich zaczęło drażnić, że na półrocze miałam oceny bardzo dobre. Do tej pory tego nie było. Dawniej, gdy w klasie proponowałam zrobić coś dla rozrywki, brano się do pracy z ochotą. Teraz na każdą propozycję obracają się tyłem mówiąc: „Kobra, zamknij się!", „Okularnik, przestań truć!". Próbowałam ich przekonać. Nawet nie chcieli słuchać. Klasa orzekła, że będzie się do mnie odzywać, gdy przestanę nosić okulary, a ja przecież muszę! Gotowa jestem zrobić wszystko, ale jak i co?

„Majka"

OD REDAKCJI: Należy ubolewać nad jakże niedojrzałym zachowaniem Twoich kolegów i koleżanek, którzy wykazują się nie tylko brakiem tolerancji, ale wręcz bezmyślnością i zacofaniem. Szkoda łez, Majko. To przykre doświadczenie powinno nauczyć Cię ostrożności w nazywaniu kogoś przyjacielem lub przyjaciółką. Zamiast tłumaczyć się wszystkim, że musisz nosić okulary, mów inaczej: „Chcę je nosić!" Dlaczego przejmujesz od swoich niedojrzałych kolegów opinię, że okulary zmniejszają wartość człowieka? Wszak to co najwartościowsze w ludziach zawiera się nie w ich wyglądzie lecz zachowaniu. Twoi koledzy widać jeszcze o tym nie wiedzą. Dlatego możesz ich o tym przekonać jeżeli zachowasz spokój, będziesz rzeczowa i koleżeńska.

(es)

Jak im wytłumaczyć?

Już sama nie wiem co robić. Moi rodzice ciągle myślą, że mam 2 lata. Tymczasem mam już lat 12. Moja sześcioletnia siostra nigdy jeszcze nie była na spacerze ze mną. Rodzice nie puszczą mnie z nią nawet na plac zabaw. Tyle razy próbowałam im wytłumaczyć, że potrafię dopilnować siostry. W dodatku Magdzia na widok traktora czy ciężarówki drży ze strachu i chowa się za mamę lub za mnie. Wiele razy nawet rozpłakałam się czując moją bezsilność wobec upartych rodziców, ale to nie pomogło. Koleżanka o trzy lata ode mnie młodsza ma brata w wieku mojej siostry i może z nim chodzić sama tam, gdzie mnie nie wolno. Wiem, że rodzice nie chcą źle, ale to już jest przesada. Nawet moje ciocie tak twierdzą. Nie mam pojęcia, dlaczego rodzice nie mają do mnie zaufania. Proszę, Cię „RP" o jakąś radę, bo sama jestem bezsilna.

Zrozpaczona

OD REDAKCJI: W zachowaniu rodziców jest wiele racji. Nie chodzi tu jednak o brak zaufania do Ciebie. Opieka nad sześciolatkiem wymaga ogromnej koncentracji, a nawet siły. Przy najlepszych chęciach możesz nie poradzić sobie z młodszą siostrą, w oczach której na pewno masz mniejszy autorytet niż rodzice. Dlatego nie irytuj się postanowieniem mamy i taty, lecz podczas rodzinnych spacerów postaraj się pokazać rodzicom, że potrafisz poświęcić siostrze tyle uwagi, by mogli być o nią i o Ciebie spokojni.

(es)

Klub Nastolatków

Z KIM NAJCHĘTNIEJ PRZEBYWASZ?

To pytanie skierowaliśmy do Was na początku roku szkolnego, w 105 numerze „Świata Młodych". Oto pierwsze wypowiedzi na ten temat:

Nikt nie jest mi tak bliski, jak nasza paczka „Jantar"

Do grona moich najlepszych przyjaciół należy: Jurek, Krzyśka i mój brat, Jacek. Tworzymy paczkę już od 10 lat. Dawniej spotykaliśmy się codziennie, bawiliśmy się, dyskutowaliśmy na różne tematy. Obecnie jesteśmy już prawie dorośli, Jurek, Krzyśka i ja mamy po 16 lat, a Jacek – 15. Spotykamy się w każdą niedzielę, rozmawiamy na poważne tematy (polityczne, kłopoty młodzieży itp.). Każdy z nas uczy się w innej szkole. Jurek w ZSZ zdobywa zawód murarza, Krzyśka w ZSZ zawód malarza, Jacek uczy się w LO, a ja w LE; każdy z nas ma inne problemy, ale jednak łączy nas wspólna przyjaźń. Prawie całą niedzielę spędzamy razem, robimy wypady do kina, na lody, w pobliskie okolice na rowerach itp.

Czasem zdarzają się sprzeczki i kłótnie, ale w następną niedzielę nawet o nich nie pamiętamy. Nasze spotkania odbywają się przeważnie w niedziele, ponieważ cały tydzień pomagamy rodzicom. Jeśli zdarzają się wolne tygodnie, wówczas urządzamy wycieczki; byliśmy już w Warszawie, Krakowie i w Górach Świętokrzyskich. Nocowaliśmy u różnych znajomych. W następne wakacje planujemy rajd dookoła Polski. Chcieliśmy to zrobić w tym roku, ale rodzice powiedzieli, że jesteśmy jeszcze za młodzi. Te niedziele i wycieczki pozostaną w mojej pamięci na zawsze, będę je wspominać, gdy będę starszą panią. Mam dużo przyjaciół, ale nikt nie jest mi tak bliski jak nasza paczka – „Jantar". Są to moi prawdziwi przyjaciele, z którymi najlepiej się czuję i lubię przebywać, chciałabym, aby nasza przyjaźń przetrwała jak najdłużej i nie rozerwało jej prywatne życie.

„Berta"

Równy chłopak

Robert jest moim najlepszym przyjacielem. Mieszkamy w tym samym bloku i chodzimy do tej samej szkoły i klasy. Pomaga mi w lekcjach. Chciałbym brać z niego przykład, ponieważ nie udaje „siłacza". Znają go moi rodzice, dlatego Robert często do mnie przychodzi. Lubię przebywać w jego towarzystwie, bo mnie nie przezywa i nie bije. Nie jest nerwowy tak jak ja. Po prostu jest, jak to się mówi, „równy chłop". Nie zapomina też oddać pożyczonych pieniędzy.

Eryk

Trójprzymierze

Jest nas trzy i łączą nas wspólne zainteresowania. Interesujemy się muzyką rockową, ale przede wszystkim uwielbiamy piłkę nożną, gramy nawet w jednej drużynie. Drużynę założyłyśmy łącznie z trzema innymi koleżankami.

Tworzymy paczkę pod nazwą TRÓJPRZYMIERZE. Wszędzie chodzimy razem, każdy kłopot rozwiązujemy wspólnie.

Agnieszka, Aneta, Beata z Kielc

Po prostu przeminęło z czasem

Z kim najchętniej przebywasz? – dziwne pytanie. W moim przypadku należy się raczej zapytać: „Z kim najlepiej się czułaś?"

Więc może napiszę z kim najlepiej się czułam. Na początku wakacji (30 czerwca) wyjechałam wraz z ciotką na wczasy do bardzo pięknej, otoczonej zewsząd górami i lasami miejscowości wypoczynkowej. Poznałam tam pewnego chłopca. Mieliśmy wiele wspólnych tematów. Rozmawialiśmy o wszystkim: o sporcie, muzyce, literaturze, wierszach do pamiętników, zwierzętach itp. Był dla mnie najlepszym przyjacielem. Powierzaliśmy sobie przeróżne tajemnice. W jego towarzystwie czułam się wspaniale. Nigdy nie mówiliśmy o miłości, chociaż z czasem przyjaźń przerodziła się w miłość. Nigdy nie nudziliśmy się. Pocieszaliśmy się w zmartwieniu, śmialiśmy się w radości. Niestety, szybko upłynęły dni przeznaczone na wypoczynek. Musieliśmy się rozstać.

Obecnie korespondujemy ze sobą, ale to nie jest już to samo co tam, na wczasach. Wtedy byliśmy blisko, mogliśmy się słyszeć, widzieć. Mieszkamy bardzo daleko od siebie, dzielą nas kilometry i wiem, że więcej się nie spotkamy, po prostu jest to niemożliwe. Obecnie najlepiej czuję się w świecie marzeń. Tam jest wszystko realne, ładne. Mogę przenosić się w tamten świat kiedy tylko zechcę i to mnie zachwyca.

Beata

Gdy mówię do niego, to słucha

Mam 12 lat. Mój kanarek (na imię ma Perełka) jest dla mnie wszystkim. To jemu zwierzam się ze zmartwień. Może to śmieszne dla innych, dla mnie wcale. To on pomaga mi przeżyć ciężkie chwile. Wszystko mu mówię, a on wybornie to rozumie i słucha. Podobno teraz panuje znieczulica, ale mnie jeszcze nie dosięgnęła. Kanarek żyje, a ja czuję, że wypłakałabym oczy za nim. Z Perełką życie wydaje się beztroskie i szczęśliwe, mam więc przyjaciela, w którym zawsze znajdę oparcie.

Dwunastolatka

Zazdroszczę mojej mamusi, że miała tak dobrą i wyrozumiałą mamę

Odpowiadam na pytanie „Z kim lubisz przebywać?" W moim przypadku tą osobą jest moja babcia. Babcia mieszka we wsi Rososz, prowadzi razem z dziadkiem i synem gospodarstwo. Urodziła się w 1924 r. Lubię przebywać w jej towarzystwie dlatego, że potrafi być zawsze miła i uśmiechnięta.

Babcia ma na mnie ogromny wpływ; potrafi mnie pochwalić, ale potrafi też i zganić. Babcia jest obowiązkowa, dobrze i sumiennie wypełnia swoje obowiązki. Lubi muzykę poważną (Chopin i Bach) i rozrywkową (Bajm, Gang Marcela). Babcia jest moim przyjacielem, któremu mogę wszystko powiedzieć i który mi zawsze coś poradzi. Chciałabym zawsze brać z babci przykład, zachowywać się tak jak ona. Babcia zawsze coś nam opowie o swojej młodości. Zazdroszczę mojej mamusi, że miała tak dobrą i wyrozumiałą mamę.

„Beatrycze"

Wiele nas łączy, dzieli mało

Poznałyśmy się w III klasie. Ona siedziała w innej ławce. Tak się kiedyś złożyło, że obie długo guzdrałyśmy się w szatni. Nawiązałyśmy rozmowę. Dowiedziałam się, że przeszła do naszej szkoły na skutek przeniesienia. Wraz z nią przeszło jeszcze kilkoro uczniów. Rozmawiałyśmy dość długo przed szkolną bramą. Obie z tornistrami na plecach, obie jeszcze dziecinne i trochę nieśmiałe w stosunku do siebie. W końcu zorientowałyśmy się, że już czas się rozstać. Marzena przypomniała sobie, że musi kupić coś w sklepie papierniczym na mojej ulicy i pomaszerowałyśmy razem w tę stronę. Przy okazji kupiłyśmy sobie laleczki do wycinania. W drodze powrotnej Marzena zaproponowała mi, żebym przyszła do niej. Pobiegłyśmy do mnie do domu. Mama trochę się złościła, ale pozwoliła mi iść do koleżanki. Bawiłyśmy się świetnie; razem wycinałyśmy kupione laleczki, rysowałyśmy, śmiałyśmy się i w końcu musiałyśmy się rozstać. Odtąd spotykałyśmy się częściej. Nie wiadomo jak to się stało, że już siedziałyśmy w jednej ławce, dzieliłyśmy się śniadaniem na przerwach, wszędzie chodziłyśmy razem.

I tak jest do dziś. Teraz mamy po 15 lat. Jesteśmy poważniejsze, mamy swoje kłopoty, z których się sobie zwierzamy, wiele wspólnych, niezapomnianych przeżyć. Nigdy się nie kłócimy. Gdy mamy odmienne poglądy, to dyskutujemy. Z Marzeną czuję się najlepiej. Ona mnie umie pocieszyć, wiem że mogę zawsze na nią liczyć. Wiele razy mi pomogła. Obie wiemy, iż długiego rozstania nie wytrzymamy. Gdy nie widzimy się trzy dni, to tak jakbyśmy nie widziały się trzy miesiące. Dużo nas łączy, mało nas dzieli. Jesteśmy już przyjaciółkami prawie 6 lat. Teraz widujemy się rzadziej, bo uczymy się w różnych szkołach. Mamy więcej nowych obowiązków, ale obie wierzymy, że mimo to nasza przyjaźń się nie przerwie.

Marika

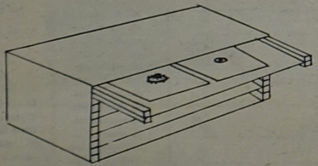

Z CZEGOŚ – GUZIK, COŚ – Z GUZIKA

Guziki podobno powstały w Asyrii. Czasem spełniały funkcję zaszczytnych odznak, wręcz dystynkcji (np. w Chinach). Na początku XIX wieku wymyślono guzik prosty, tandetny, fabrycznie wykonywany. Jest ich taka masa, że nie ma mowy by zbierać wszystkie ich typy. Trzeba podjąć decyzję: wojskowe? mundurowe? z napisami? a może te z ozdobnym ornamentem? Kolekcję należy podzielić na guziki stare i współczesne.

Powstają one z różnych materiałów, ważny więc jest sposób ich konserwowania. Tak więc guziki z tkanin i nici – myjemy w wywarze z kłącza mydlnicy lekarskiej kupionej w Herbapolu (2 g na 1 l wody). Nie należy przy ich czyszczeniu używać odplamiaczy. Silnie zaplamioną tłuszczem skórę – czyścimy benzyną, a po umyciu smarujemy cienką warstwą oleju rycynowego. Guziki srebrne delikatnie czyścimy kredą ze spirytusem.

Przechowujemy je w albumie lub w kasecie takiej jak na rysunku. Przed zamocowaniem odczytujemy wszelkie napisy i symbole znajdujące się na rewersie. Jeśli guzik umocowany jest w albumie na tej samej kartce przerysowujemy wzór z rewersu i opisujemy wnioski z okoliczności zdobycia guzika, daty itp. informacje. Niepewne – notujemy osobno i umocowujemy na guziku na karteczkach z wyciętą dziurką. Guziki nie przygotowane do albumu należy przechowywać nawleczone na nitkę w zamkniętym pudełku.

● Najsłynniejsze muzeum guzików z naukowo opracowanymi zbiorami mieści się w Carnavalet. U nas tworzy się takie placówki przy zakładach wytwórczych, jak np. przy inowrocławskich zakładach galanteryjnych „Igal". Można je też oglądać w Opinogórze i w muzeum Czartoryskich w Krakowie.

● Podczas II wojny światowej brytyjscy lotnicy królewskich sił powietrznych, czyli tzw. RAF-u, jako jeden z guzików munduru nosili miniaturową busolę. Dzięki takiemu guzikowi niejeden z zestrzelonych lotników uniknął niewoli lub śmierci.

ZBIERANIE KART – czyli SZLACHETNY HAZARD

Przeciętna talia zawiera 32 karty, pełna – 52. Do wielu gier używa się dwóch lub więcej talii w dwóch różnych kolorach koszulek. Nic tak łatwo się nie dekompletuje, jak właśnie talia kart, która staje się wtedy do gier nieprzydatna, ale za to kolekcjonerzy ich mogą zacierać ręce. Formy plastyczne kart zdumiewająco powoli się zmieniają. Tak np. współczesne karty francuskie są podobne do tych, które przed II wojną światową robiono w fabryce krakowskiej, te zaś wzorowane była na wiedeńskich kartach Ferdynanda Piatnika i synów z drugiej połowy zeszłego stulecia. Ich postacie z kolei niewiele różniły się od obrazków z kart polskich XVIII w. Stroje postaci z tych kart miały swój rodowód w modzie staroświeckich kostiumów francuskich o wiek wcześniejszych. Równocześnie każde karty stanowią świadectwo własnej doby. Na niektórych jest wiadomość o odkryciu Ameryki, niebezpieczeństwie tureckim; króle, damy i walety mają rysy wielkich ludzi swojej epoki. Istnieją polskie karty autorstwa Jana Feliksa Piwarskiego przedstawiające Stanisława Augusta, Jana III Sobieskiego, Kazimierza Wielkiego, Zygmunta III... Swoisty poczet królów. Są karty czterokolorowe i karty do gry w tarocka, które mają o jedną figurę więcej, karty do pasjansa i karty do dziecinnych gier, jak Czarny Piotruś – warto się nimi zainteresować.

A może spróbujecie zbierać zasady gier znanych od stuleci. Choćby takich jak: mariasz, kiks, czyli mariasz we czterech, wózek czyli bicz, pamfil, straszak czyli oczko, chapanka, wist z dziadkiem, z Kajeną, bez kozery, boston, preferans, pikieta z pikiem, faraon...

LASKI I ICH BRACIA – PARASOLE

Laska towarzyszy człowiekowi od niepamiętnych czasów. Podpiera, służy do obrony, ozdoby, bywa też oznaką władzy. Zbierajmy więc laski turystyczne, z widoczkami, z napisami, prymitywne wiejskie kije, laski pasterskie, kostury żebracze, kosztowne laseczki miejskich elegantów i elegantek z monogramami, laski o specjalnym przeznaczeniu, jak np. dla mineralogów, i tych którzy uprawiają wspinaczkę – z ostrzami i młotkami. Przechowujemy je w stojakach zrobionych np. z kosza na śmieci, podzielonego dyktowymi przegródkami.

W ten sam sposób przechowywać można parasole w całości (bo możliwy jest np. zbiór samych rączek). Ich historia jest ciekawa. Przyszły do nas ze Wschodu, gdzie chroniły nie przed deszczem a przed światłem. Już w starożytnej Grecji je składano. Wspomina o tym w sztuce „Rycerze" Arystofanes. Wiek XIX był złotym dla parasolek, ale i w ciągu ostatnich dziesięcioleci były one odbiciem najrozmaitszych mód i przedmiotem wielu usprawnień.

● *Faraon egipski Tutenchamon kazał się pochować ze swoją kolekcją lasek spacerowych (XIII w p.n.e.).*

● *W lasce Prometeusz przemycił ogień ukradziony nieśmiertelnym. W ten sam sposób mnichowie wynieśli zza chińskiego muru jedwabniki.*

WARTO PRZECZYTAĆ

OKO – Obyczaje – Kultura – Osobliwości – dotąd ukazał się jeden album tej zamierzonej serii, która użyczyć ma nam kolekcjonerom osobliwości i pasji niezwykłych. Niestety jego redaktor Lech Pijanowski nie żyje i nie wiadomo jak potoczą się dalej losy tego arcyciekawego zamierzenia.

ALFABET KOLEKCJONERA

K – książki, kartki żywnościowe, korzenie, kartki pocztowe (odkrytki, korespondentki, widokówki), kamienie, karty do gry, kalambury, kaktusy, kwiaty, kalendarze, kredki, klucze, koronki, kicze, kufle, kałamarze, koperty, kalkomanie...

L (Ł) – listy, lizaki, lusterka, lampy, latarki, latarnie, laski, latające talerze (oczywiście w postaci informacji o nich), lalki (np. w strojach narodowych), lichtarze, legendy, łyżki, łańcuszki, łuski (od pocisków)...

Żaglowiec kołysze się u nabrzeża gotów do drogi. Odprowadzający machają z lądu, coś pokrzykują... Za chwilę odbije, a jego załoga wróci do macierzystego portu dopiero za 9 miesięcy. Nic więc dziwnego, że to rozstanie jest takie trudne. Młodzi żeglarze czują już dotyk Wielkiej Przygody, która zacznie się za malutką chwileczkę i będzie trwała, trwała, trwała... Ale przedtem trzeba przeżyć rozstanie z bliskimi.

Załatwić z samym sobą

KSIĄŻĘ I ŻEBRAK

Siedzę w miękkim fotelu, popijam herbatę, oglądam to wszystko na ekranie telewizora w wieczornym dzienniku i wcale się nie wzruszam. Ten rejs „Pogorii" budzi we mnie sprzeciw. Nie rozumiem, dlaczego Wielka Przygoda stała się udziałem tylko trzydziestki marzących o spotkaniu z morzem, podróżą, egzotycznymi krajami. Dlaczego tylko trzydziestki, skoro marzących jest tak wielu? Czy wielkość przygody zależy tak bardzo od czasu-jej trwania? Przecież można było nią obdzielić znacznie większą liczbę młodych żeglarzy, gdyby się nie zdecydowano na rejs-gigant.

Nie ma szczęścia ten statek – wszedł na stałe w służbę kaprysów. Pierwszym jego armatorem był były prezes Komitetu Radia i Telewizji Maciej Szczepański. Niechlubna legenda o nim, o „Pogorii" i ich rejsach bulwersowała opinię społeczną parę lat temu. Ileż się potem nadyskutowano nad tym, jak „Pogorię" najlepiej wykorzystać.

No i co? płynie sobie żaglowiec po morzach i oceanach niosąc na swym pokładzie trzydziestu chłopców i ich guwernerów, przepraszam, nauczycieli, którzy będą dbali o to, by roku szkolnego nie stracili.

Oglądam to co się dzieje na ekranie siedząc w miękkim fotelu, bo odpoczywam po podróży. Wróciłam właśnie z Konina, gdzie na piłkarskim stadionie „Górnika" chłopcy z Bułgarii, Węgier, NRD i Polski walczyli o puchar „Świata Młodych". Zwyczajni chłopcy, ot, drużyny szkolne. Ci z Polski nie mają hojnego patrona. Już w pierwszym meczu piętnastoletni piłkarze z Goliny stracili... kilka par trampek. Tylko oni mieli na nogach tak marne obuwie. Nie było za co i nie było gdzie kupić lepszego.

A przeciwnicy... Lepiej nie mówmy o tym, co zdobiło nogi rywali, bo aż głupio.

„Książę i żebrak" – nachodziło mnie uparcie takie porównanie. Ale – nie ma się czego wstydzić – myślałam – w tym cholernym kryzysie są ważniejsze, pilniejsze sprawy niż właściwe buty dla kopiących piłkę chłopaków. Pewnie są, tylko że dla nich nie ma w tej chwili sprawy ważniejszej. Ekipa niemiecka chciała chłopcom z Goliny wypożyczyć na mecz finałowy swoje wspaniałe obuwie. Ale noga przecież musi przywyknąć do buta. Na to nie było czasu. Nasi więc uznali, że będą choćby boso walczyć o zwycięstwo. Zajęli drugie miejsce. A może, gdyby inne buty...

„Książę i żebrak" myślę i teraz patrząc na odpływający jacht. Ile ta przyjemność kosztuje złotówek? A ile dolarów? W obcych krajach trzeba płacić dewizami za wszelkie portowe usługi, za jarzyny, owoce i inne łatwo się psujące produkty, których nie da się załadować w niewielkie przecież ładownie w takiej ilości, by starczyło do końca podróży.

Ile za to można by kupić butów dla takich chłopców jak z Goliny? A ile żaglówek dla drużyn, które próbują same budować dla siebie łodzie dosłownie z niczego? Ile krótszych rejsów morskich dla ilu dziewcząt i chłopców można by zorganizować? Nie umiem tego policzyć, ale wiem, że coś tu jest nie w porządku.

Powie mi ktoś, że uprawiam demagogię. (To takie modne słowo, które znaczy mniej więcej to samo, co wykręcanie kota ogonem). Że robię lordów z normalnych chłopaków, którzy na ten rejs zapracowali, sprawiedliwie zostalii wybrani z całej masy tych, którzy starali się spełnić warunki kwalifikujące do postawienia stopy na pokładzie „Pogorii". Wszyscy mieli równe szanse. Zdobywali tę przepustkę pracą społeczną – służąc pomocą ludziom starym i niepełnosprawnym. Tyle, że wartość tej pomocy przeliczono jakoś tam na złotówki. I te złotówki z funduszu opieki społecznej pokryją część kosztów rejsu.

Jaki pedagog to wymyślił? Trzydziestka opiekunów spełniła samarytańskie zadanie i poszła w morze. A ta cała zawiedziona reszta niedoszłych żeglarzy? Czy skoro się to już nie opłaca, machnęła ręką na swych podopiecznych? Chcę wierzyć, że tak się nie stało.

Tak więc z punktu widzenia interesu społecznego...

Jacht, nabrzeże znikają z ekranu telewizora. Zaledwie kilkadziesiąt sekund trwała ta scena, a ja zdążyłam w tej króciutkiej chwili o tylu rzeczach pomyśleć, ocenić intencje, sens, opłacalność, skutki nawet tej wyprawy. A może... zbyt mi to poszło szybko. Może nie mam racji?

Przecież można by na całą sprawę spojrzeć zupełnie inaczej. Trzydziestu chłopakom udało się dosięgnąć nierealnego marzenia. Niemożliwe stało się możliwym. I teraz tysiące chłopaków i dziewcząt będą towarzyszyć im myślami w podróży wzdłuż brzegów Europy, Afryki przez dwa oceany aż na Cejlon. I marzyć o czymś, co może się spełnić, bo przecież już się komuś spełniło. I robić wszystko, żeby to marzenie stało się realne.

Może więc leży w interesie społecznym to, by warto było marzyć i zamieniać marzenia w barwną rzeczywistość? Może. Ale przeszkadza mi w takim spojrzeniu na sprawę wspomnienie wyrazu twarzy chłopaka, któremu rozleciały się trampki na murawie boiska.

Muszę to jeszcze raz przemyśleć z samą sobą. Może nie tylko ja?

EWA DROBNIK

Sportowcy, o których się mówi

„Kangur" ze Świebodzina

Poniedziałek, 8 sierpnia br., drugi dzień I Lekkoatletycznych Mistrzostw Świata. Chociaż w programie imprezy, która dopiero nabierała tempa, dominowały eliminacje, miejsc wolnych na trybunach nie było. Wspaniała fińska publiczność, o której słynny francuski biegacz polskiego pochodzenia, Michel Jazy, powiedział, że jest jedyna w swoim rodzaju i niepowtarzalna, oczekiwała na finał trójskoku. Chociaż w tej konkurencji reprezentanci Suomi (Finlandii) sukcesów nie osiągają, to jednak walka o medale rozgrzała widzów i zepchnęła na plan dalszy inne wydarzenia na stadionie.

Początkowo główną rolę grał ciemnoskóry Amerykanin Wille Banks. Nie dlatego, że objął prowadzenie skokiem powyżej 17 metrów, ale z racji swych aktorskich popisów. Ten sympatyczny, wiecznie roześmiany sportowiec podbił publiczność. Spontanicznie reagował na każdą udaną próbę, zabawiał publiczność śmiesznymi gestami i swą chłopięcą naturalnością zyskał powszechną sympatię.

Zdzisław Hoffman pozostawał w cieniu. Pierwsze jego skoki nie były tak efektowne jak skoki Banksa, a młody Polak czuł pewien respekt przed sławnym rywalem. Ale tylko do czwartej próby, w której wylądował w tym samym punkcie, co Amerykanin i uzyskał identyczny rezultat co on – 17 metrów 18 centymetrów. Banks, który był już prawie pewny złota, przyjrzał się teraz uważnie wysokiemu, szczupłemu konkurentowi z Polski. Jego nazwisko dotychczas mówiło mu niewiele. Nie tracił jednak humoru, bo nadal prowadził. Krótko jednak, bowiem Zdzisiek Hoffman uwierzył nagle we własne możliwości i po idealnym odbiciu poszybował w powietrze tak daleko, że zanim sędziowie spełnili swą powinność, on, Banks i widzowie wiedzieli, że jest nowym liderem. Wille przyznał potem, że w tym momencie stracił wiarę w zwycięstwo; rezultat 17 metrów 35 centymetrów przekraczał jego możliwości. Nie wpłynęło to jednak na zmianę jego stylu bycia. Przeciwnie. Bił brawo Polakowi, czarował publiczność i tylko w chwili, gdy koncentrował się przed skokiem, uśmiech ginął z jego oblicza. Kiedy w ostatniej próbie Zdzisław Hoffman wspaniałym skokiem na odległość nowego rekordu Polski – 17 metrów i 42 centymetry postawił kropkę nad „i" – pierwszy pospieszył z gratulacjami i po przyjacielsku objął mistrza świata. Obaj otrzymali gromkie brawa.

Wielki dzień Świebodzina

W tym samym czasie w mieszkaniu państwa Heleny i Stanisława Hoffmanów w Świebodzinie panowała szalona radość. Cała, liczna rodzina złotego medalisty słuchała z zapartym tchem bezpośredniej transmisji radiowej, a potem oglądała popisy Zdziśka w telewizji.

– Syn miał wielkie szczęście, że w tak małym miasteczku jak Świebodzin trafił na tak świetnego fachowca i wspaniałego człowieka. Był nim trener **Jarosław Algierski** – mówił pan Stanisław Hoffman dziennikarzom.

Trener Algierski z klubu „Zew" Świebodzin to postać znana dobrze w światku lekkoatletycznym. Od 14 lat pracuje jako nauczyciel wf w szkole nr 1 i od tego czasu królowa sportu zajmuje w życiu szkoły i miasteczka szczególne miejsce. Pan Jarosław śledził popisy swojego wychowanka na ekranie telewizora w Łagowie, gdzie akurat w tym czasie przebywał z młodzieżą na sportowym obozie. Wiedział, że Zdzisiek jest w wielkiej formie, ale nie oczekiwał, że pokona wszystkich. Znał jego klasę sportową i godną podziwu odporność psychiczną. Z sukcesu cieszy się wraz z nim. Trener Algierski jest daleki od twierdzenia, że złoty medal Hoffmana to jego zasługa. Uważa, że to Zdzisiek swą pracą, uporem i talentem osiągnął tak wiele i że obecny trener z wrocławskiego „Śląska" – Andrzej Lasocki ma większe powody do satysfakcji.

Zaczęło się od czwórboju

W Świebodzinie i w Zielonej Górze wszyscy są jednak zdania, że nie byłoby polskiego mistrza świata w trójskoku, gdyby nie Algierski i jego pasja. Zdzisiek zwrócił na siebie uwagę nauczyciela już w szóstej klasie. Był sprawny, skoczny, ale nie wyróżniał się jeszcze warunkami fizycznymi. Jak wszyscy podopieczni pana Algierskiego uprawiał czwórbój lekkoatletyczny, nie specjalizując się w żadnej konkurencji. Czwórbojowe imprezy „Świata Młodych" były pierwszym sprawdzianem zdolności Zdziśka, który zresztą z powodzeniem grał jednocześnie w koszykówkę. W ósmej klasie, gdy chłopak urósł, trener rozpoczął z nim zajęcia w skokach, bowiem

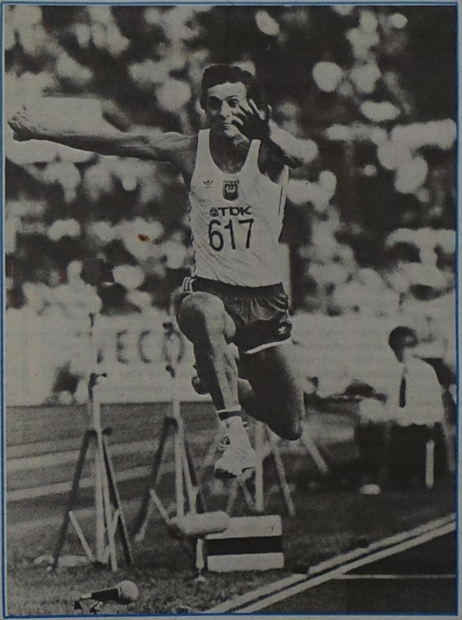

w tej specjalności dostrzegł u wychowanka największe możliwości. Miał „nosa"; już wkrótce, w 1977 roku Zdzisław Hoffman wynikiem 15 metrów i 80 centymetrów zdobył złoty medal na spartakiadzie młodzieży. W nagrodę pojechał na mistrzostwa Europy juniorów. Ale „zjadła" go tam trema.

Teraz Los Angeles

Droga ku sportowym wyżynom nie jest jednak łatwa, zwłaszcza w takiej konkurencji jak trójskok, gdzie łatwo o urazy i kontuzje. Nie ominęły one Hoffmana i opóźniały jego postępy. Czynił je jednak systematycznie, choć w tempie wolniejszym niż można było oczekiwać. W 1979 roku zdobył tytuł wicemistrza Polski, a w następnym znalazł się w ekipie olimpijskiej. Pech chciał, że jechał do Moskwy z kontuzją, która dała o sobie znać podczas olimpijskiego konkursu. Zdzisiek nie ukończył zawodów i przeżył swe pierwsze wielkie rozczarowanie. Nieudany start na igrzyskach chciał zrekompensować w roku następnym. Był najlepszy w kraju. Ale granica 17 metrów – przepustka do światowej elity – wciąż wydawała się jednak bardzo odległa.

Nadszedł rok 1983, który stanowi punkt zwrotny w karierze tego sportowca. Po solidnie przepracowanej zimie forma przyszła sama i to forma wyższa od oczekiwanej. W czerwcu na mistrzostwach Polski Hoffman poszybował wreszcie poza zaczarowaną granicę i wynikiem 17 metrów 19 centymetrów ustanowił rekord kraju. Nie minął miesiąc, a na mityngu w Barcelonie „kangur ze Świebodzina" skoczył jeszcze dalej (17 m 20 cm). W Helsinkach dwukrotnie poprawił osiągnięcie z Hiszpanii, a potem pokazał swoją klasę kilkoma efektownymi występami na międzynarodowych zawodach. Zdaniem fachowców Polaka stać na skok w granicach 18 metrów i rekord świata. Zdzisław Hoffman nie ukrywa, że ma takie plany. Odkłada je jednak do roku następnego, do igrzysk w Los Angeles...

TOMASZ TRZCIŃSKI

Fot. **CAF**

Kartki z dawnych lat

Krzyżacy niszczą Sieradz i okolice

W roku 1331 miał miejsce wielki najazd krzyżacki na ziemie polskie. Najazd ten, powodując olbrzymie straty w majątku i ludziach, spustoszył między innymi Sieradz i jego okolice. 12 września Krzyżacy wyruszyli z ziemi chełmińskiej w kierunku ziemi sieradzkiej i łęczyckiej oraz Uniejowa. Posuwające się wojska krzyżackie krwawo znaczyły szlak swego przemarszu, *„grabiąc i paląc, gwałcąc dziewczęta, odbierając cześć niewiastom i zmuszając do nierządu..."* – jak podaje Jan Długosz w „Historii Polski". Tenże historyk informuje nas także o tym, że Krzyżacy *„palą główny zamek Sieradz i Uniejów oraz sąsiadujące z nimi miasta, również miasta Wartę, Szadek, Staw i leżące naokoło wsie, także klasztory i kościoły znajdujące się we wspomnianych miastach i wsiach, zabierając wszystko, co mogło budzić ich chciwość i co tam mogli znaleźć"*.

20 września 1331 roku główne siły wojsk krzyżackich rabowały sam Sieradz. Ogołocone z wartościowych przedmiotów budynki podpalano, część ludności wymordowano, nie szczędząc ni kobiet i dzieci, ni duchownych. Wówczas to obrabowano też kościół i klasztor dominikanów, mimo że przeor sieradzki Mikołaj, przebywający uprzednio w Elblągu, znał komtura tego miasta Hermana von Oettingen, rabującego teraz mienie kościelno-klasztorne. Na próżno przeor błagał Krzyżaka o względy dla kościoła, klasztoru i wielu ludzi tam zgromadzonych ze swym dobytkiem, o zaniechanie rzezi niewinnych osób, grabienia i palenia. Butny Krzyżak na błagania te odpowiedział w dialekcie pruskim: „Nie rozumiem".

Jan Długosz pisze, że Krzyżacy, *„wdarłszy się do klasztoru zabrali wszystkie rzeczy poświęcone Bogu, a to: kielichy, krzyże, ozdoby, ornaty i majątki różnych ludzi, połamawszy i rozbiwszy skrzynie i szkatułki. Nie wahali się także ograbić aż do całkowitego ogołocenia mnichów św. Dominika, ilu ich było w klasztorze, a ludzi świeckich, mężczyzn i kobiety, z ubrań. Po ograbieniu i spaleniu okolic Sieradza oraz rzezi miejscowej ludności, wojska krzyżackie ruszyły pod Kalisz, gdzie nastąpiła koncentracja oddziałów najeźdźcy"*.

Ze zniszczeń dokonanych przez Krzyżaków kraj nasz dźwigał się w czasach panowania Kazimierza Wielkiego. Król w miejscu drewniano-murowanego zamku sieradzkiego wzniósł budowlę zamkową z cegły, odbudował też ze zniszczeń wojennych samo miasto Sieradz, otaczając je murami obronnymi.

Przy okazji warto dodać, że wspomniany w niniejszym tekście przeor sieradzki Mikołaj, jako naoczny świadek zniszczeń dokonanych w roku 1331 przez wojska krzyżackie w Sieradzu, zeznawał w roku 1339 podczas procesu z Krzyżakami.

HENRYK SZUBERT

Tadeusz Różewicz:

nagrody dawałbym tylko ludziom bardzo młodym...

Wybitny polski poeta, dramaturg, powieściopisarz – Tadeusz Różewicz został laureatem I nagrody Ministra Kultury i Sztuki w dziale literatury. Niedawno otrzymał też austriacką Nagrodę Państwową w dziedzinie literatury za rok 1982, za wybitny wkład do dorobku kultury europejskiej.

– Przez kilkanaście dni przebywał pan w Austrii, spotykając się z czytelnikami, wydawcami, krytykami. Jakie problemy najczęściej podnoszono podczas tych spotkań?

– W znacznej mierze dotyczyły one mojej biografii i bibliografii. W rozmowach zastanawiano się czy tematyka wojenna nie zdeterminowała całej mojej twórczości. Oczywiście tłumaczyłem, że nie, że był to tylko pewien okres, który się już skończył. Trudno mi tu oczywiście streszczać moje sztuki, ale np. dwie ostatnie wiążą się z postacią Franza Kafki, którego setną rocznicę urodzin właśnie obchodzimy. Sam uczestniczyłem w Wiedniu w takim wielkim sympozjum, na którym zebrali się „kafkolodzy" z całego świata.

– Wróćmy na chwilę do pytań dotyczących pańskiej biografii. Co najbardziej interesowało pańskich rozmówców?

– Najczęściej powracał pewien stereotyp dotyczący przeżyć tzw. pokolenia wojennego. Na Zachodzie mówi się o nim: „pokolenie stracone", a u nas „pokolenie Kolumbów". Późniejsze dzieje, w sensie bardziej uniwersalnych kontaktów literackich, przeważnie już mniej interesowały. Jest to chyba wina naszej krytyki, która szufladkuje autora, wrzuca go do pokolenia wojennego, a ten wojenny epizod trwał w końcu pięć lat. Potem żyje się jeszcze 35 lat, ale na to nie ma rady.

– A jeśli chodzi o dane bibliograficzne?

– No więc interesowano się moją twórczością: Jaki jest zasięg mojej poezji, dramatu, gdzie byłem tłumaczony. Trudna sprawa, bo przez tych kilkadziesiąt lat uzbierała się spora biblioteka przekładów moich utworów, w przeszło trzydziestu, a może nawet więcej językach, nie tylko europejskich. Przysyłają mi tłumaczenia wierszy – ku memu zaskoczeniu – nawet z takich krajów, jak Irak czy Mongolia. Oczywiście podstawowe języki, na które są tłumaczone moje utwory, to jednak angielski, niemiecki, rosyjski, hiszpański, czeski, węgierski, bułgarski; wśród dalszych znajduje się macedoński, ormiański, słoweński, gruziński i inne.

Najpierw ukazał się wybór moich wierszy w Czechosłowacji. Potem pojawiły się tłumaczenia na język serbski, pióra zasłużonego dla naszej literatury Petera Vujicicia. Był to chyba jeden z pierwszych wyborów polskiego poety w Jugosławii. Ten sam tłumacz wydał następnie drugi zbiór moich wierszy i przetłumaczył część moich sztuk oraz szereg opowiadań. Potem zaczęto tłumaczyć moje utwory w Macedonii, Słowenii i Chorwacji. W Niemczech Zachodnich pierwszym tłumaczem był Karl Dedecius, który w latach sześćdziesiątych wydał pierwszą książkę „Niepokój". Obecnie wszystkie moje sztuki są tłumaczone na niemiecki i wydawane w RFN lub w NRD. Jeśli chodzi o tłumaczenia na język angielski, to w Anglii ukazały się trzy wybory poezji i trzy tomy sztuk teatralnych w tłumaczeniu, zresztą świetnym, Adama Czerniawskiego z Londynu. Wyszły też zbiory moich wierszy i sztuk w USA. Jest dużo tłumaczeń, przede wszystkim sztuk teatralnych, w języku hiszpańskim. W Argentynie grane było m. in. „Białe małżeństwo", w Meksyku, w teatrach studenckich – „Stara kobieta wysiaduje". Trudno zresztą w tej rozmowie wszystko wyliczyć, to co powiedziałem jest ilustracją szerszego zjawiska.

– Jest pan laureatem jednej z najpoważniejszych na Zachodzie – Nagrody Austriackiej. Czy dużo było podobnych wyróżnień?

– Nie ma tych wyróżnień zagranicznych tak wiele. Widzi pan, z nagrodami to jest tak: z jednej strony wprawdzie dają jakąś satysfakcję, ale z drugiej są obciążeniem psychicznym. Laureat zaczyna w pewnym sensie inaczej myśleć, zachodzą w nim zmiany psychiczne i w tym przypadku nagrody nie zawsze dobrze robią ludziom. Jeśliby to ode mnie zależało, to nagrody dawałbym tylko ludziom bardzo młodym...

– Albo prawie starym...

– No, bardzo, bardzo starym, ale przede wszystkim młodym. Gdybym tę nagrodę dostał np. 30 lat temu, to moja satysfakcja i inne korzyści byłyby inne. Wysokie jury powinno brać pod uwagę przede wszystkim wiek: nagradzać poetę jak ma 30 lat, dramaturga jak ma 40–45 lat, no a prozaika jak ma 50 lat.

– Może jeszcze parę słów na temat planów zarówno wydawniczych, jak i twórczych?

– No więc te plany, które są realne, to przede wszystkim inscenizacja sztuki „Pułapka". Jest to mój najnowszy utwór, który zacząłem pisać w 1979 roku, a skończyłem w 1981. Prapremiera miała się odbyć w tym roku w Teatrze Dramatycznym w reżyserii Jerzego Jarockiego, jednak ciągle się to odwleka. Jarocki miał tę sztukę wystawić w Jugosławii, w Niszu. W przyszłym sezonie „Pułapka" ma mieć premierę w Berlinie. Tłumaczona jest też na języki: francuski, włoski i angielski. Poza tym Dedecius wyda moje utwory – jako ostatni tom – w swojej Bibliotece Polskiej. W Jugosławii pracuje się nad trzecim czy już czwartym wyborem moich utworów. Wspomniany Czerniawski pracuje jeszcze nad tomem przekładów moich sztuk w języku angielskim. Mam w planach kilka sztuk, ale czy je napiszę za trzy czy nawet czetery lata – nie wiem. Wybieram się nawet do Wittenbergi i do Weimaru, żeby tam „pochodzić" po śladach Mickiewicza.

– Chodzi więc o sztukę historyczną?

– Nie powiem, bo jak powiem, to nie napiszę.

– To w takim razie nie zapeszajmy. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
FRANCISZEK MALINOWSKI (PAP)
Fot. archiwum

DWADZIEŚCIA DWA DNI POD ZRUJNOWANYM MOSTEM...

Praca nadesłana na konkurs „Drogi do Wolności"

Stanisław Minartowicz w 1939 r. był żołnierzem. Pod Skarżyskiem został wzięty do niewoli. Najpierw przebywał w stalagu Alten Grabow, potem w stalagu XI B. Tam pracował przy oczyszczaniu kanalizacji i przy budowie rowów. Wyżywienie było podłe. Zachorował. Cztery miesiące leżał w szpitalu lagrowym. Z tego też powodu został zwolniony wraz z siedemdziesięcioma jeńcami (na liczący około 100 000 jeńców wojennych obóz) do domu.

Następne spotkanie Stanisława Minartowicza ze służbą w wojsku nastąpiło 21 marca 1944 r. kiedy to po wyzwoleniu Zbaraża i okolic trafił do 1 Armii Polskiej w ZSRR (tak się wtedy nazywała). Ośrodek formowania tej armii znajdował się w miejscowości Sumy. Tam został przydzielony do trzeciej dywizji piechoty imienia Romualda Traugutta. Teraz skierowano go do plutonu łączności w pierwszym batalionie 9 pułku piechoty. Szkolenie odbywało się w lasach wokół Przebraża. Następnie przekroczenie Bugu i radość z wyzwolenia Lubelszczyzny. W sierpniu, wraz z całą dywizją bierze udział w forsowaniu Wisły i w miesięcznych walkach nad Pilicą, na przyczółku warecko-magnuszewskim. A oto jego opowieść o próbie dotarcia do Warszawy:

– Wycofaliśmy się za Wisłę, rozbiliśmy namioty. Mieliśmy iść na odpoczynek. Następnej nocy już marsz. Rano doszliśmy do Anina pod Warszawą. Dano nam śniadanie, kazano odpocząć, a nawet przedrzemać się. Potem tyralierą ruszyliśmy w kierunku Wisły. Wyszliśmy na Saską Kępę akuratnie tam, gdzie była plaża. Mieliśmy forsować rzekę. Niestety, łodzi było zbyt mało, aby wszyscy na raz mogli się załadować. Nasz batalion poszedł jako pierwszy na przeprawę. Niemcy nie strzelali. Wyglądało jakby się miało obyć bez strat. Ale kiedy część żołnierzy znalazła się na rzece, poszedł po łodziach ogień z karabinów maszynowych. Było wielu rannych i zabitych. Sanitariusze, którzy mieli rannych ratować, również zostali ranni lub zabici. Dowódca batalionu szczęśliwie dotarł na tamten brzeg. Z naszą grupą, która miała się przeprawiać jako druga – został jego zastępca. Wieczorem, po wycofaniu się za wydmy, dowódca batalionu zaczął wzywać, aby dano mu łączność. O godzinie jedenastej w nocy (to było osiemnastego września) dowódca plutonu wybrał nas pięciu łącznościowców do przeprawy. Zbieramy swój sprzęt i ładujemy się. Oprócz nas ładuje się jeszcze siedmiu z innych kompanii. Płyniemy. Mieliśmy oczywiście umówione hasło, a punktem, do którego musieliśmy dotrzeć, miało być czerwone światełko. Jeżeli zboczymy w prawo czy w lewo, wpadniemy w ręce Niemców. Dopływamy do połowy Wisły niemal obok mostu Poniatowskiego. I wtedy oświetla nas rakieta niemiecka. Wpadamy w tak celny ogień krzyżowy, że od razu ginie ośmiu żołnierzy. Jeden karabin bije z mostu, a drugi z którejś kamienicy. Łódź zaczyna się górą palić i powoli tonie. Ale prąd nas niesie do mostu. Dopływamy do pierwszego filara po warszawskiej stronie. Tu nasza łódź zahacza o coś, idzie zupełnie pod wodę i siada na mieliźnie. A my, kto tylko może się podnieść, wyłazimy z niej. Reszta zostaje. Spośród nas czterech, którzy ją opuścili, jeden zmarł przed rankiem z upływu krwi, bo miał urwaną lewą rękę, a nas trzech zostało. Ja i Wychopień byliśmy ranni w nogi, a ten trzeci w pośladek. Najpierw, jeszcze w czwórkę wyleźliśmy na kamienie pod przęsłem i tak siedzieliśmy i robiliśmy sobie opatrunki. Najgorzej było z tym trzecim, pośladek miał jakby ociosany siekierą. Parę dni tak leżał na brzuchu i mordował się. Trzymał się szyn. W końcu, gdzieś po tygodniu, mówi, że będzie próbował czołgać się. Kiedy tak czołgał się po szynie rozwalonego mostu, natknął się na trzynastoletniego powstańca Rysia Rajewskiego i przyprowadził go do nas.

– Ty jesteś zdrów – mówimy do niego – to może ty nam postarasz się o trochę żywności. Myśmy już sześć dni nic w ustach nie mieli prócz wody wiślanej...

Pierwszej nocy Rysio wdrapał się na most. Leżała tam masa trupów, a wśród nich dwóch sanitariuszy. Chłopiec opuścił nam nosze sanitarne i do tego przyniósł torbę z bandażami, a w drugiej z pół bochenka chleba, niestety, całkiem przesiąkniętego krwią. Te opatrunki bardzo się przydały. W ranach mieliśmy już robaki. Mnie nie udało się spodni zdjąć. Musiałem je sobie obrzynać za kolanami, później wzdłuż. Odrzuciłem to wszystko i dopiero można było założyć opatrunek. Tak samo uczynił Wychopień.

Rano pokazaliśmy Rysiowi zatopioną łódkę, która wystawała z wody z dziesięć centymetrów. Czekaliśmy do nocy. Tej nocy jednak bez przerwy świeciły rakiety. Dopiero następnej chłopiec do niej dotarł. Przestraszył się najpierw, bo było tam dużo trupów, ale w końcu przyniósł nam jakieś rozmoknięte suchary i konserwę. Razem z Rysiem było nas teraz tylko trzech, ponieważ ten raniony w pośladek którejś nocy postanowił czołgać się, by zorganizować pomoc. Co z nim się dalej działo, nie wiadomo, prawdopodobnie wpadł do wody.

Na ten kawałek mostu nad nami, który prowadził z lądu na pierwszy filar, ciągle jeszcze wchodzili Niemcy. Docierały do nas ich rozmowy. Słyszeliśmy nawet, jak ustawiali karabin maszynowy. Później nasza artyleria, kiedy spostrzegła, że Niemcy tu mają bardzo dobre stanowisko do prowadzenia bocznego ognia na przeprawę, otworzyła ogień. Leci jeden pocisk i wpada tuż obok nas w wodę, drugi również pada w pobliżu. Trzeci trafia w ten pomost między lądem a filarem. Rozbił go. Myśmy pod nim siedzieli. Obsypało nas kamieniami. Paliła się kostka ze smołą, kapało na nas. Byliśmy cali czarni i ogłuszeni. Jeden nie słyszał drugiego. Którejś nocy, kiedy most był już rozbity, słyszymy, że od strony Niemców ktoś po drutach się opuszcza, właśnie tu, gdzie my siedzimy. Patrzymy: mężczyzna. Gdy poczuł grunt pod nogami, stanął na kamieniu i puścił się tych drutów. Rozgląda się, my go widzimy na tle palącej się Warszawy. Jest w rogatywce, znaczy swój. I wtedy dopiero odzywamy się. Przestraszył się.

– Kto to?

– Ranni jesteśmy, ratuj nas w jakiś sposób – mówimy. A on na to: jak się przedostanę na drugi brzeg, naturalnie zawiadomię kogo trzeba.

– Rysiu idź z nim – poradziliśmy chłopcu. Odeszli. A my z nadzieją czekaliśmy pomocy.

Był to już październik, z zimna dosłownie trzepało nami. Nie mieliśmy żadnego koca aby się okryć. Całe szczęście, że Rysio przyniósł te nosze. Już nagniotki mieliśmy od siedzenia na kamieniach. Kiedy wody przybyło, jakoś te nosze umieściliśmy wyżej i na nich siedzieliśmy. Tamci odeszli, a my czekamy. Druga, trzecia noc i nic. A wody przybywa. Już w niej siedzimy. Wychopień, starszy gość, załamuje się. Proponuje, że może poszlibyśmy do niewoli. Chwilami zaczyna majaczyć. Ale kiedy przytomnieje, żyjemy nadzieją, że jakimś cudem wydostaniemy się. Trzyma nas wiara, że nasze wojska pójdą jednak do przodu i zostaniemy ocaleni. Czekamy. Liczymy również, że Rysio i tamten żołnierz doszli. Zaczynamy odczuwać głód. Suchary już dawno się skończyły, pijemy tylko wodę, którą nabieramy hełmem. Nagle którejś nocy dostrzegam w świetle rakiety, że płyną na wprost nas łódka i kajak! Zatrzymują się przy naszym filarze... Za wszelką cenę musimy się dostać do nich.

Tej nocy nic się nie dało zrobić, ponieważ rakiety oświetlały całą Wisłę. Dopiero następnej złazimy z tych noszy i posuwamy się do łódki. Postanawiamy jednak płynąć kajakiem, bo łódka jest ciężka, a my słabi. Ale kiedy zaczęliśmy na dobre wiosłować, usłyszeli nas Niemcy. Jedna rakieta, druga i już karabin maszynowy szczeka. Ale myśmy zdążyli przepłynąć następny filar. Gdy strzały umilkły, zaczęliśmy się znów odpychać i tak dotarliśmy do praskiego brzegu. Tam natknęliśmy się na nasze wojsko. Od razu odwieziono nas do frontowego szpitala w Wiązownej. Wychopienia odtransportowano do stałego szpitala w Otwocku. Ja zostałem w tym i z nim dotarłem aż do Berlina...

Tak zakończyły się wojenne losy dwóch bohaterów, którzy w tak trudnych warunkach, od 18 września do 10 października 1944 roku, pełne 22 dni, przebywali pod ruinami mostu Poniatowskiego. Zdołali przetrwać, co wymagało niezwykłego hartu. Jednym z tych żołnierzy był właśnie obecny mieszkaniec Baborowa – Stanisław Minartowicz.

Marek Taratuta
Szkolne Koło Przyjaciół ZBoWiD
ZSR w Głubczycach

Gdy Sobieski pod Wiedeń szedł

TARNOGÓRSKIE GWARKI

Tarnogórskie Dni Gwarków obchodzone są dla uczczenia uruchomienia eksploatacji złóż srebra i ołowiu odkrytych w 80 latach XVIII stulecia w rejonie pobliskich Bobrownik. Na pamiątkę owego wydarzenia Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej każdego roku organizuje barwny korowód postaci historycznych i legendarnych związanych z dziejami miasta. W tegorocznym pochodzie mieszkańcy Tarnowskich Gór z radością powitali Jana III Sobieskiego i jego małżonkę Marysieńkę, którzy przejechali ulicami grodu w asyście husarii. W korowodzie szedł również książę Jan II Opolski ostatni z dynastii Piastów opolskich (który w 1526 roku nadał Tarnowskim Górom prawa miejskie, a w dwa lata później „Ordunek Gorny" – pierwszy zbiór praw górniczych), Jan Sedlaczka – tarnogórski Wierzynek i Karol XII król szwedzki (który odwiedził miasto wbrew woli jego mieszkańców w czasie słynnego potopu). Wśród wielu postaci pojawili się także poeci Johann Wolfgang Goethe i Julian Ursyn Niemcewicz, którzy pozostawili trwały ślad po swojej bytności w miejskich kronikach. Pochód otwierali chłop Rybka – legendarny odkrywca kruszcu, bogactwa miasta i Skarbnik – dobry duch górników. Nie brakowało i starszych cechów rzemieślniczych, którzy w swych historycznych strojach przypominali najświetniejsze lata miasta i jego mieszkańców. (kk)

Fotoreportaż **ZBIGNIEWA BISANZA**

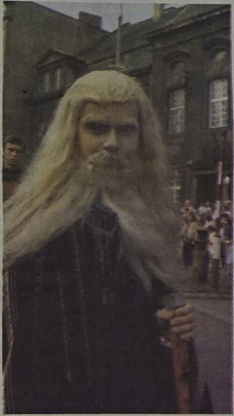

Na co to komu? (7)

Żółte bogactwo i „krew przemysłu chemicznego"

W kopalni siarki

Romantyczny wiek XIX nazwał kwas siarkowy „krwią przemysłu chemicznego", uznając w ten sposób jego znaczenie dla wielu odgałęzień chemii stosowanej. Wielkość produkcji oraz zużycia kwasu siarkowego traktowano jeszcze niedawno jako wskaźnik uprzemysłowienia kraju. Wiele gałęzi przemysłu zużywa kwas siarkowy, lecz lwią część zagarnia metalurgia i przemysł chemiczny.

Główne zastosowanie znajduje kwas siarkowy w produkcji nawozów sztucznych. Z importowanych fosforytów i apatytów przez działanie kwasem siarkowym uzyskuje się superfosfat, oraz kwas fosforowy – odpadem jest tu siarczan wapnia, fosfogips. Kwas fosforowy służy potem również do produkcji nawozów fosforowo-potasowych (PK) i azotowo-fosforowo-potasowych (NPK), jak również dodatku do pasz – fosforanu dwuwapniowego, oraz polifosforanów sodowych – podstawy proszków do prania.

Dużo kwasu siarkowego zużywają liczne syntezy chemiczne, przede wszystkim soli nieorganicznych, jak siarczany sodu, amonu, glinu, miedzi, baru itd., niezbędnych w przemyśle włókienniczym, papierniczym, farmaceutycznym, barwnikarskim i w wielu innych dziedzinach.

Kwas siarkowy służy również do produkcji bieli tytanowej, włókien wiskozowych, przy rafinacji ropy naftowej i benzolu koksowniczego, merceryzacji bawełny itd..

To tylko główne kierunki zużycia tego kwasu, ale już one wskazują wyraźnie, że romantyczna nazwa jest jak najbardziej uzasadniona.

Na początku była siarka...

Najczęściej stosowanym i najwygodniejszym obecnie surowcem do produkcji kwasu siarkowego jest siarka rodzima, elementarna, wydobywana u nas w rejonie Tarnobrzega. Siarkę elementarną można także odzyskiwać z odsiarczania gazu ziemnego, ropy naftowej oraz przy niektórych syntezach chemicznych.

Przez utlenienie siarki otrzymuje się dwutlenek siarki SO_2, który następnie utlenia się katalitycznie do SO_3. Trójtlenek siarki rozpuszcza się w wodzie – i kwas siarkowy gotowy. Warto podkreślić, że Polska specjalizuje się w RWPG w technologii oraz budowie fabryk kwasu siarkowego i eksportuje gotowe obiekty do wielu krajów świata, konkurując skutecznie z firmami zachodnimi.

Stare i nowe kopalnie

Silne oparcie tej specjalizacji stanowi własne wydobycie siarki. W Polsce jest ona znana od wieków – nie licząc wawelskiego smoka! Kopalnia siarki w Swoszowicach pod Krakowem była od 1422 r. pierwszą w Polsce i w Europie, a działała 460 lat, do 1886 r.! Ostatnią czynną kopalnią siarki była kopalnia w Posądzy, zamknięta w 1921 r...

Jednak od 4 grudnia 1960 r. Polska stanęła do wyścigu w wydobyciu siarki – uruchomiono wówczas odkrywkową kopalnię w Piasecznie (dziś już nieczynną), potem w Machowie. W 1966 zastosowano krajową metodę podziemnego wytapiania w kopalni Grzybów, następnie w Jeziórku. I Polska wysunęła się na czoło światowych eksporterów siarki, co przynosi krajowi cenne dewizy. Ostatnio siarka wspomagała dzielnie górnictwo węglowe, pod tym właśnie względem.

Jak się ocenia, przez pięć wieków kopalnictwa siarki w Polsce wydobyto łącznie około 200 tys. t. tego surowca. Teraz wydobywa się prawie 5 mln. t rocznie! Większość siarki eksportujemy na Wschód i na Zachód, w kraju zostaje 1/3.

Uniwersalny surowiec

Od najdawniejszych, rzymskich czasów „kwiat siarczany" – drobno zmielona siarka – stosowany był do ochrony winnic przed chorobami grzybowymi. Stosowano siarkę w lecznictwie, i do dziś bardzo ważne zadanie spełnia w przemyśle gumowym, do wulkanizacji kauczuku – bez niej nie byłoby gumy ani ebonitu.

Głównym zastosowaniem siarki pozostaje produkcja kwasu siarkowego, ale również ultramaryny i cynobru. Z siarki i gazu ziemnego otrzymuje się dwusiarczek węgla, niezbędny do produkcji włókien wiskozowych, do ekstrakcji tłuszczów oraz produkcji niektórych środków ochrony roślin.

We Francji dodaje się ją do asfaltów i po spienieniu stosuje jako izolację cieplną budynków.

Uzyskany ze spalenia dwutlenek siarki służy do odkażania pomieszczeń, bielenia papieru, wełny i jedwabiu, konserwacji pulp owocowych, chmielu, soku buraczanego, do siarkowania beczek do wina itd.

Zupełnie otwarta pozostaje sprawa dalszego, głębszego przerobu chemicznego siarki. **Tiochemia** obejmuje produkcję siarkowodoru, metioniny niezbędnej w żywieniu zwierząt, środków ochrony roślin, sulfotlenku dwumetylu – rozpuszczalnika prawie doskonałego, bo rozpuszczającego większość związków organicznych, produkcję środków pomocniczych dla przemysłu włókienniczego, skórzanego, gumowego, papierniczego i innych, kauczuku syntetycznego (tiokolu), dodatków do olejów smarów, sulfonamidów i innych leków, pigmentów...

Jest to surowiec o wielkim znaczeniu dla kraju i na eksport. Trzeba więc utrzymać jego produkcję na dzisiejszym poziomie, budując niedługo nową kopalnię, innego wyjścia nie ma. „Krew przemysłu" musi płynąć...

KRZYSZTOF GUTORSKI
Fot. archiwum

Świat Muzyki

GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

PORTRETY

NENA reklamowana jest niemal w każdym numerze pisma Bravo, skąd pochodzi to zdjęcie. Widzicie na nim jej kolegów z zespołu: Rolf Brendel, Uwe Fahrenkrog – Petersen, Carlo Karges i Jürgen Dehmel. Nena – Band może się pochwalić na razie jednym longplayem, opatrzonym rzecz jasna tytułem „Nena".

ZAPRASZAMY DO TRÓJKI

26 września weszła w życie nowa, jesienno–zimowa tzw. ramówka pr. III. Zasygnalizuję kilka jej najciekawszych, nowych pozycji, wiedząc, że czytelnicy Świata Muzyki są także wiernymi słuchaczami tego programu.

Jeśli chodzi o muzykę jazzzową, to właściwie niewiele się zmienia. Pozostają dawne tytuły audycji i ich autorzy. Przypomnę jednak, że wieczorne pasmo jazzowe rozpoczyna się teraz o godz. 21.00. Uwadze czytelników „ŚM" polecam: „Trzy kwadranse jazzu" – autorskie Jana Ptaszyna Wróblewskiego (poniedziałek) i Jana Borkowskiego (środy) oraz przygotowywane przez kilku autorów (piątek). Ci ostatni prezentują w całości płyty według następującego schematu: klasyka jazzowa, awangarda, nowości i jazzowe pogranicze. Interesującym się szczególnie jazzem polecam jeszcze dwie audycje: Marii Jurkowskiej – „Śladami jazzowych legend" (wtorki, co drugi tydzień) oraz Edwarda Steinhagena – „Złote lata swingu" (soboty).

Zwolennicy muzyki poważnej niechaj zapamiętają dwa tytuły: Fermata – Magazyn Publicystyki Muzycznej" oraz „Dzieła, interpretacje, nagrania". „Fermata" to tytuł magazynu, który nie będzie li tylko zbiorem relacji z odbywających się koncertów. Ambicją autorów jest jak najszersze i wieloaspektowe ujęcie całości problematyki dotyczącej polskiej kultury muzycznej, kłopotów i sukcesów ludzi organizujących i czuwających nad rozwojem życia muzycznego w kraju, osiągnięć polskich kompozytorów i wykonawców itd, itd. „Dzieła, interpretacje, nagrania" to audycja służąca prezentacji słynnych dzieł wielkiej klasyki w interpretacji najwybitniejszych wykonawców, ze szczególnym uwzględnieniem nowości nagraniowych. Szczególny nacisk położony będzie w tych audycjach nie tyle na samą formę, co na atrakcyjność materiału muzycznego.

Wreszcie muzyka rozrywkowa, na pewno ciesząca się największą popularnością. Nastoletnim słuchaczom pr.III dedykuje audycje umieszczone w paśmie popołudniowym (godz.15.05.), adresując je do szczególnie zainteresowanych piosenką, przede wszystkim natomiast różnymi formami muzyki rockowej. To pasmo, obok charakteru rozrywkowego, ma także edukacyjny. Oto tytuły audycji w kolejności ich nadawania: „Bielszy odcień bluesa" – poniedziałek, „Big beat na płytach" – wtorek, „Ten dobry, stary rock and roll" – środa, „Rockowe archiwum/Rockowe dygresje" – czwartek, „Rock po polsku" – piątek i „Wszystkie drogi prowadzą do Nashville" – sobota. Nowe w tym paśmie są trzy audycje: „Bielszy odcień bluesa" (była nadawana później) „Rockowe archiwum" oraz „Rockowe dygresje". W „Rockowym archiwum" usłyszycie nagrania z bogatej skarbnicy światowego rocka, wykonawców znanych ale już trochę zapomnianych, w „Rockowych dygresjach" muzykę rockową z krajów demokracji ludowej. Po takim przygotowaniu możecie już słuchać utworów prezentowanych w popołudniowym wydaniu audycji „Zapraszamy do trójki", gdzie pozostają wszystkie atrakcje z non–stopami włącznie. Z godz.21.00 na 20.00 zostało przeniesione kolejne pasmo muzyki rozrywkowej. Tu warto właściwie też zapamiętać wszystkie pozycje: „Studio nagrań" – poniedziałek, „Cały ten rock" – wtorek, „Katalog nagrań" – środa, „Nini – Max" – czwartek, „Interradio" – piątek. Wyrobionym muzycznie słuchaczom, którzy dokonali już wyboru gatunku muzyki pr.III poleca pasmo późnowieczorne (22.15). Tu zapisujemy: „Soul – muzyka duszy" – poniedziałek, „Duke Ellington i jego muzyka", „Śladami jazzowych legend" – wtorek, „W kręgu ballady" – środa, „Blues wczoraj i dziś" – czwartek, „Folk – muzyka włóczęgów i poetów" – piątek. Zwolennicy muzyki latynoskiej mają swoją audycję – „Wokół muzyki latynoskiej" (sobota), francuskiej też – „Pod dachami Paryża" (niedziela). Innych audycji – choćby „W tonacji trójki" i nocnego wydania „Zapraszamy do trójki" reklamować chyba nie muszę.

Najwięcej emocji wywołuje sobotnie wydanie trójkowej Listy Przebojów. Gromadzi ona przy radioodbiornikach chyba wszystkich słuchaczy pr.III, nawet tych, którzy tylko interesują się muzyką folk, country czy bluesem. Telefony dzwonią wtedy w redakcji bez przerwy, rozmówcy Marka Niedźwieckiego podają nie tylko tytuły ulubionych piosenek, ale dzielą się także uwagami o całym programie. Lista stanowi jakby wypadkową profilu muzycznego pr.III, nastawionego przede wszystkim na prezentowanie i promowanie muzyki polskiej. Stąd na przykład w roku ubiegłym 68 utworów było polskich, w tym 25 znalazło się na pierwszych pozycjach (wobec 12 zagranicznych).

Wyżej podane informacje dotyczą audycji muzycznych. Muzyka uzupełnia także materiały dziennikarskie w blokach „Zapraszamy do trójki" – porannym i popołudniowym.

Program III prowadzi też własną politykę nagraniową. Przypomnę, że dla trójki nagrywała Republika, Rezerwat, Kombi, Exodus, Elżbieta Mielczarek... Dobiegła także końca sesja z udziałem muzyków rockowych pracujących na co dzień w wielu zespołach. Ponad 70 minut muzyki czeka na antenową premierę. Do końca tego roku... może jeszcze „trójka" zaskoczy słuchaczy, ale... poczekajmy.

Na zdjęciu – numer jeden na „trójkowej" liście przebojów (notowanie 73) – zespół POLICE

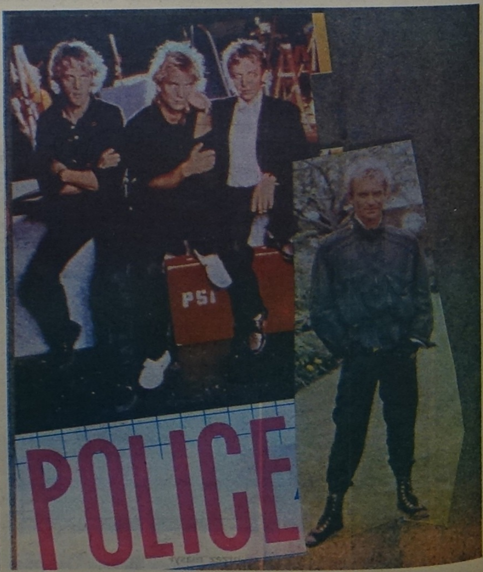

FUN BOY THREE

Informacja o rozwiązaniu się zespołu Fun Boy Three zmartwi zapewne wszystkich sympatyków „nowej" ska. Nagrania tej popularnej i u nas grupy pojawiają się jeszcze z pewnością na radiowej antenie, warto więc poznać bliżej karierę, niestety, krótką, tego znakomitego tria. Fun Boy Three zakończył swoją działalność w lecie br. wkrótce po udanym tournee po Stanach Zjednoczonych (?). Powstał jesienią 1981 r. w wyniku rozłamu, jaki nastąpił w zespole The Specials...

Zacznijmy jednak od samego początku. Powstałą w końcu lat 70 formację The Specials tworzyło siedmiu muzyków z Coventry, których różniły nie tylko zainteresowania muzyczne, ale i kolor skóry. Czarno-biały septet posługiwał się początkowo nazwą Special AKA, wykonując punk-rock z elementami „ciężkiego" reggae. Z czasem muzyka Specials stała się bliższa rytmom ska i bluebeatu, o czym można się przekonać się, słuchając przebojowych: „Gangsters", „Too Much Too Young" oraz „Rat Race". W tym miejscu należy zwrócić uwagę, że siódemka z Coventry wkroczyła na rynek w okresie silnych napięć społecznych, jakie ogarnęły część Wysp Brytyjskich. Teksty zespołów „nowej fali", a także grup z kręgu „białego" reggae, w rodzaju The Beat, Selecter, UB40, czy właśnie Specials, mówiły otwarcie o rasowej nietolerancji, dyskryminacji i potrzebie zapewnienia równych praw dla kolorowej młodzieży. W kompozycji „Doesn't Make It Alright" członkowie Specials włożyli całe swoje credo –"on może być czarny, ja mogę być biały, i to jest bez znaczenia – musimy walczyć". Dzięki tekstom o podobnej, jak zacytowany, wymowie, grupa stała się czołowym przedstawicielem „wojującego" nurtu „nowej fali", awansując do ścisłego grona ulubieńców kontestującej młodzieży brytyjskiej.

Na dalsze losy Specials wpłynęły w dużym stopniu niepokoje, których areną stała się Anglia wiosną 1981 r. To wówczas doszło do starć na tle rasowym w Brixton, a następnie w londyńskiej dzielnicy Southall, Liverpoolu i Manchesterze. W zespole wyodrębniła się wówczas grupa „radykałów", zdecydowana na komentarze polityczne, a nie mająca wsparcia wśród pozostałych członków Specials. Tworzyło ją trzech muzyków, którzy na jesieni 1981 r. postanowili utworzyć Fun Boy Three. Funkcję wokalisty pełnił w tercecie biały ex-solista Souad-Terry Hall, a wspomagali go: również śpiewający – Neville Staples oraz gitarzysta – Łynval Golding.

Fun Boy Three przedstawił się szerokiej publiczności singlem „The Linatics Have Taken Over The Asylum". W marcu 1982 r. znalazł się w sprzedaży pierwszy album tria „Fun Boy Three", który wydała firma Chrysalis. Kolejne małe krążki grupy to: „It Ain't What You Do", „Really Saying Something", „The More I See/The Less I Believe", „Tunnel Of Love" oraz „Our Lips Are Sealed". Muzykę tria określić można mianem „ska/pop" i chociaż była ona bardziej „rozrywkowa" od produkcji Specials, nadal ilustrowała mocno zaangażowane teksty, piętnujące politykę rządu Thatcher, czy poruszające problem irlandzki („The More I See").

Drugi longplay Fun Boy Three-„Waiting" – przyniósł materiał muzyczny, nie mający już wiele wspólnego z wcześniejszymi nagraniami grupy. Być może zadecydował o tym fakt, iż producentem longplaya był Dawid Byrne z Talking Heads. Ten doskonały muzyk zadbał o staranne aranżacje, wzbogacił również poszczególne utwory od strony brzmieniowej. Podczas realizacji płyty trio wspomagali m. in.: perkusista Blue Rondo-Geraldo D'Arbilly, June Kingston z Modettes, dawny współpracownik Specials-trębacz, Dick Cuthell oraz dziewczęcy chórek – Delta Five. Jeżeli jesteśmy już przy śpiewających paniach to warto wspomnieć, iż na pierwszym albumie i kilku singlach, chłopcom z Fun Boy Three towarzyszyło trio Bananarama, które odnosi ostatnio spore sukcesy.

Jak potoczą się dalsze losy tercetu z Coventry – na razie nie wiemy. Myślę jednak, że o tych znakomitych muzykach usłyszymy jeszcze wiele dobrego.

MAREK WIERNIK

Zabytki... z dna morskiego

EGIPT (PAP). Trwają przygotowania do wydobywania francuskich okrętów wojennych z czasów napoleońskich, zatopionych pod Abulirem niedaleko Aleksandrii na Morzu Śródziemnym aż 185 lat temu. Zwyciężyła je flota brytyjska dowodzona przez admirała Nelsona.

Nad wydobyciem 13 odkrytych wraków pracuje ekipa egipskich i francuskich ekspertów. Potrwa to wiele miesięcy i będzie przedsięwzięciem niezwykle ważnym dla nauki. Naukowcy mają bowiem nadzieję, że uda się im wydobyć z dna morskiego nie tylko kadłuby okrętowe, ale również wiele broni, dokumentów z tamtej epoki, a także prawdziwy skarb w postaci złota i klejnotów. Oba kraje mają po wydobyciu cennych pozostałości sprawiedliwie się nimi podzielić. **(eb)**

Naturalne filtry

Naukowcy brazylijscy podczas badań przeprowadzanych w dorzeczu Amazonki stwierdzili, że w miejscu występowania lilii wodnych jakość wody jest znacznie lepsza niż tam, gdzie te rośliny nie występują.

Po dokonaniu odpowiednich analiz przystąpili do urządzania eksperymentalnej oczyszczalni. Polega ona na tym, że zanieczyszczona woda wpływa do specjalnego basenu, wypełnionego liliami. Korzenie tych roślin zawieszone w wodzie działają jak filtry, przecedzając i rozkładając zanieczyszczenia. Warto pamiętać, że w Polsce lilie wodne objęte są ochroną. **(wm)**

Ubezpieczenia chorobowe dla... robotów

(PAP). W Japonii rozważa się wprowadzenie pewnego rodzaju ,,ubezpieczenia chorobowego" dla robotów przemysłowych, które są w tym kraju bardzo często stosowane w procesach produkcyjnych.

Przedstawiciel agencji ubezpieczeniowej zakomunikował, że zaproponują one firmom korzystającym z pomocy robotów pakiet specjalnych ubezpieczeń. Przewiduje on zwrot kosztów naprawy zepsutych robotów oraz pokrycie strat wynikłych z zakłócenia ciągłości produkcji.

W przyszłości będzie się także można ubezpieczyć na wypadek wadliwego zaprogramowania komputera, który wyprodukuje np. nie to, co trzeba. **(kl)**

Podziemne wody... ostrzegają przed trzęsieniem ziemi!

ZSRR (PAP). W Instytucie Sejsmologii Akademii Nauk Uzbeckiej SRR prowadzi się badania nad prognozowaniem trzęsień ziemi. Stwierdzono, że podziemne wody mogą dostarczyć pierwszych sygnałów o mającym nastąpić wstrząsie. W okresie poprzedzającym trzęsienie zwiększa się w podziemnych wodach zawartość różnych gazów – po czym na krótko przed samym kataklizmem gwałtownie spada. Występują także widoczne zmiany w składzie izotopowym podziemnych wód.

Drugą obok hydrochemii metodą wykrywania trzęsień ziemi są badania zjawisk elektrycznych, zachodzących w skorupie ziemskiej. Na krótko przed trzęsieniem powstają – prawdopodobnie w wyniku naprężeń skał lub ich niewidocznych przemieszczeń – wyładowania elektryczne w głębi ziemi. Impulsy elektryczne stopniowo przemieszczają się bliżej powierzchni – zmieniając pole elektromagnetyczne. **(jo)**

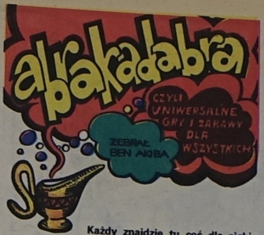

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś możecie uczestniczyć w wyścigu rowerzysty z lokomotywą. A potem jak najszybciej radzę rozwiązać ,,zadanie-błyskawicę", o ile komuś nie pomylą się trzej bracia. Dla relaksu – nasze stałe pozycje: teatr cieni i łączenie punktów. Do zobaczenia za tydzień!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

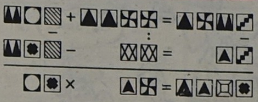

TAJEMNICZE DZIAŁANIA

W tym układzie rysuneczków zaszyfrowane są matematyczne działania na liczbach. Każdy rysuneczek to jedna cyfra. Powtarzające się w tym układzie takie same rysuneczki oznaczają powtarzające się takie same cyfry. Działania wykonujemy zgodnie z ich znakami, zarówno w kierunku poziomym, jak i pionowym.

PATRZ I MYŚL!

Tylko dwadzieścia drobnych szczegółów różni lewy obrazek od prawego. Spróbuj je odszukać, zaznaczyć i porównać z rozwiązaniem, które znajdziesz w Abrakadabrze za tydzień.

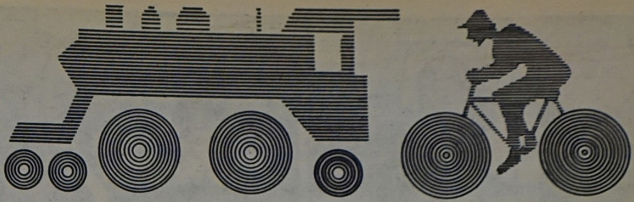

ALE WYŚCIG!

To jest specjalna zabawa dla naszych najmłodszych Czytelników. Wystarczy lekko poruszać gazetą kolistymi ruchami w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a koła roweru i lokomotywy zaczną się kręcić, sprawiając wrażenie wyścigu tych dwóch pojazdów.

ZADANIE-BŁYSKAWICA

Nie zwlekaj z odpowiedzią w tym zadaniu. ,,Janek jest starszy od Piotrka. Ten jest młodszy od Kazia, który jest starszy od Piotrka, ale młodszy od Janka. Który z braci jest najstarszy?"

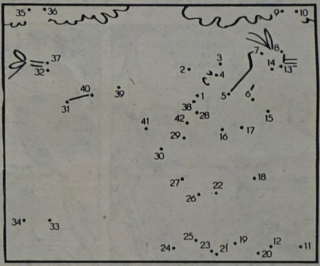

TEATR CIENI ABRAKADABRY

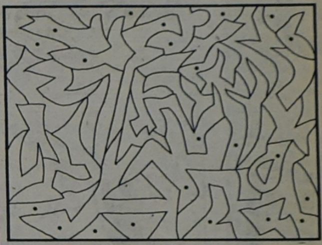

Popatrz uważnie na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem w jedną całość te wszystkie jego fragmenty, które oznaczono kropkami. Czy układają ci się już w jakiś obraz – wizję? Teraz weź ołówek lub mazak i starannie zamaluj te obszary z kropkami. Rozwiązanie otrzymasz natychmiast, bo na tym polega nasz teatr cieni.

40 PUNKTÓW

Długopisem lub cienkim mazakiem połącz starannie i uważnie liniami prostymi kolejne punkty oznaczone numerami od 1 do 40. Otrzymasz w nagrodę obrazek. Jest to nagroda za rozwiązanie wszystkich zadań dzisiejszej Abrakadabry.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

31	8	22	15	30	5
20	11	24	16	28	12
17	26	13	21	9	25
34	1	23	14	35	4
7	32	10	27	6	29
2	33	19	18	3	36

CZTERY FRAGMENTY: kwadraciki nr 2, 11, 15 i 19 (jak wskazuje rysunek). KWADRAT – TRUDNY: rozwiązanie obok.

Wracał zatem do punktu wyjścia, chociaż inną drogą, w innej porze roku.

Bliżej oazy Laghouat, położonej na wysokości 750 m nad Uedem Mzi, było widać szybkie postępy wiosny. Brunatne łożyska strumieni rozkwitły gąszczem oleandrów. Plantacje fig, granatów i palm daktylowych ożyły, winnice pokrywały się młodą zielenią.

– W marcu odbędzie się tu święto – oznajmił kierowca. Zawody jeździeckie na koniach i dromaderach. To najpiękniejsza pora. Jeszcze nie ma upałów, a wszystko już kwitnie. Może zostaniesz, poczekasz? – zwrócił się żartem do Daniela.

– Chętnie bym to zrobił.

– A ja nie! – wtrącił Dżamal. – Bardzo mi pilno do Algieru!

– Ciekaw jesteś miasta?

– Nie. Odmiany losu.

Znowu powiedział to zbyt poważnym, jakby napuszonym tonem, mimo woli naśladując pewnie jakiegoś nauczyciela, który wbijał mu w głowę wersety Koranu. Ale wyraził jasno istotę swoich myśli: cały był oczekiwaniem.

W Laghouat zabawili krótko, kierowca wrzucił do ciężarówki kilka worków z owocami, parę skrzynek i znowu siadł za kółkiem, pogwizdując z satysfakcją. Pędzili teraz jeszcze szybciej, mimo że droga pięła się w górę przez masyw Atlasu Saharyjskiego. W pewnej chwili technik wskazał Danielowi wyniosłe szczyty.

– To Ued Nail. Stąd schodzą tancerki, żeby uzbierać sobie posag. Widziałeś może ich tańce?

– Widziałem.

– Powiadają, że jeśli dziewczyna z Ued Nail da chłopcu kwiatek, będzie miał szczęście w miłości przez całe życie.

Za zakrętem ujrzeli wierzchołek Senalba, wysoki na półtora tysiąca metrów. W szoferce zrobiło się zimno. Od pobliskich lasów ciągnął jeszcze zimowy zamróz.

– Na wschód od miasta Dżelfa, niedaleko stąd, odkryto wśród skał prehistoryczne rysunki zwierząt: muflona, antylopy, lwa – popisywał się wiedzą kierowca. – Gdybym miał więcej czasu, to bym cię tam zawiózł. Nie chce się wierzyć, że rysowano je przed tysiącami lat. Ja bym tak nie potrafił. No i zwierzęta te dawno wyginęły. Szkoda. Piękna musiała kiedyś być Sahara.

– I dziś jest piękna – stwierdził Daniel.

– E tam! Wielka kupa piachu i kamieni!

– A jednak ludzie ją kochają.

– Zdaje ci się. Każdy, gdyby mógł, przeniósłby się na żyzne, nadmorskie tereny, gdzie i klimat łagodniejszy, i jedzenia w bród. Algieria wciąż nie może wyżywić swej ludności. Pomyśl: taki wielki kraj, a brakuje wszystkiego. Ten wąski skrawek nadmorski nie równoważy jałowych obszarów pustyni. Co prawda sadzi się lasy, zakłada plantacje trawy alfa na płaskowyżu, buduje wsie socjalistyczne, ale kiedy to wszystko da wyniki...

– Macie jeszcze naftę i gaz ziemny.

– Tym się nie można najeść. Tutaj trzeba pracy całych pokoleń...

Zagadał po arabsku do Dżamala, roześmieli się obaj swobodnie, pewni, że Daniel ich nie rozumie, że chociaż siedzi obok, oddziela go od nich mur obcości, za którym chronili się z niejakim poczuciem przewagi. Może zresztą tak mu się wydawało, może był przeczulony, może tęsknota za krajem wyostrzyła jego reakcje. Czuł, że bardzo się zmienił podczas pobytu w Algierii, ale jeszcze nie ogarniał myślą istoty owych przemian. Wiedział lepiej, kim pragnie być w przyszłości, zajmował zdecydowaną postawę wobec życia. I to był chyba najważniejszy rezultat saharyjskiej kuracji, zgoła nie przewidziany przez Szymona.

KONIEC

Powieść ukaże się nakładem ,,Naszej Księgarni".

Binio Bill kręci western i... w kosmos!

TEKST I RYS. Jerzy Wróblewski

ŚWIAT MŁODYCH

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61, sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)

TELEX 81-36-58.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.

Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.

Opracowanie graficzne:
Szarlota Paweł
Opracowanie techniczne:
Bogumiła Szczupakowska
Korekta:
Barbara Zając
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3686/G M-101

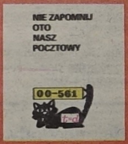

UŚMIECH NUMERU

NA SKRAJU buszu spotykają się dwaj australijscy łowcy.
– Skąd masz takie straszne sińce na ciele?
– Zrobiłem sobie nowy bumerang, a stary wyrzuciłem...

★

W ZOO:
– Tato, tamto zwierzę wygląda jak nasz sąsiad!
– Michasiu, nie wypada tak mówić...
– Ależ to naprawdę on, właśnie do nas macha!

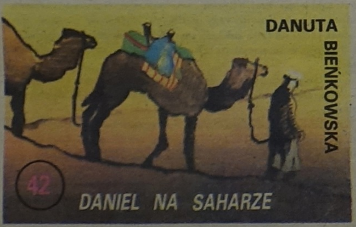

Dżamal uśmiechnął się. Z jego smagłej twarzy niewiele można było wyczytać. Miał na sobie tę samą, lecz wypraną odzież, był wypoczęty i – co zabawne, gdy chodzi o piętnastoletniego chłopca – pełen godności.

– Mohamed Ali przesyła ci pozdrowienia.

– Dziękuję – odparł ze stosowną powagą Daniel.

– Mohamed Ali dał mi list do ciotecznego brata mego ojca. Ten nasz krewny ma sklep w Algierze. Może zgodzi się, abym u niego zamieszkał. Może pójdę do szkoły. Może zdobędę wyższe wykształcenie. Może będę wielkim człowiekiem.

Znowu ponosiła go fantazja, roił cudowne plany. Ale Daniel nie burzył jego nadziei. Kto wie, czy wizyta u czcigodnego Mozabity nie była punktem zwrotnym w życiu tego chłopca.

O ósmej zjawił się technik z Hassi Mesaud, Algierczyk w kwiecie wieku, repatriant z Francji. Wsadził obu chłopców do szoferki, sam siadł za kierownicą.

– Musimy się trochę spieszyć. Mamy sześćset kilometrów przed sobą – powiedział po francusku. – Ale droga dobra, towarzystwo miłe – uśmiechnął się bardziej do Dżamala niż do Daniela. Prujemy najpierw do Laghouat. Tam wstąpimy na chwilę do kogoś – mrugnął porozumiewawczo – po daktyle i pomarańcze. Nie ma lepszych w całej Algierii. No i dostaniemy je za darmo. Łatwiej im tam coś wyhodować niż tutaj, mają więcej wody. Pomyślcie tylko, w M'zabie całą wodę trzeba wyciągać z trzech tysięcy zwyczajnych, bardzo głębokich studni... Już mi obrzydło słuchać, jak skrzypią.

– A jednak hodują tu ćwierć miliona palm daktylowych – oburzył się Dżamal. – Tak mi powiedział mój czcigodny krewny Mohamed Ali z klasztoru w Ghardai.

– Skoro tak, to święta prawda – znowu uśmiechnął się Algierczyk. – Podobno Mozabici oszukują tylko w interesach. Poza tym kłamstwo nigdy nie kala ich ust. A wątpię, aby twój czcigodny krewny Mohamed Ali z tutejszego klasztoru prowadził jakiekolwiek interesy.

– Skądże. Jest uczonym. Teologiem.

– Oby Allach miał go w swojej opiece.

Niepostrzeżenie przeszli na arabski – ku zadowoleniu Daniela, który siedząc przy oknie niby to oglądał krajobraz, lecz raczej błogo odpoczywał, nie myśląc właściwie o niczym. Wprawdzie ostatnią noc przespał snem kamiennym, ale był jeszcze bardzo zmęczony, a nadmiar wrażeń w ostatnich dniach jakby go ogłuszył. Tęsknił nawet nie za algierską przystanią Szymona, lecz za portem macierzystym, za domem w Warszawie, gdzie wszystko trwa po staremu i wiadomo, czego można się spodziewać. Jasne, że każdy okręt musi wyruszyć w nowy rejs, bliski czy daleki, morze jest jego żywiołem, ruch nieodzowną potrzebą, lecz jakże słodka jest myśl o powrocie, kiedy czas na kilka dni się zatrzymuje, znajome sprzęty są pod ręką, bezpieczeństwo wydaje się zupełne, rodzina pełni rolę falochronu, a burze – jeśli szaleją – to w należytej odległości.

Dokończenie na str. 7